NIEDZIELA

TYGODNIOWY DODATEK BEZPŁATNY

Nr. 38 Katowice, 25-go września 1932

Na niedzielę dziewiętnastą po Swiątkach.

EWANGELJA.

zapisana u św. Mateusza w rozdz. 22, w. 1—14.

W on czas: Odezwał się Jezus do przedniejszych kapłanów i faryzeuszów w przypowieściach i mówił: Z królestwem niebieskiem jest podobnie, jak z pewnym królem, który synowi swemu sprawił wesele. I wysłał swe sługi, by wezwali zaproszonych na gody, ale oni przyjść nie chcieli. Posłał ponownie inne sługi, mówiąc: Powiedźcie zaproszonym: Oto ucztę moją przygotowałem, woły me i co było tuczne zabito, i wszystko gotowe; pójdźcie na gody. Ale oni, lekceważąc to, odeszli: jeden do włości swojej, a drugi do swego kupiectwa, reszta zaś pojmała sługi jego, zelżyła i pozabijała. A dowiedziawszy się król, rozgniewał się, wysłał swe wojska, wytracił owych mężobójców, a miasto ich podpalił. Wtedy rzecze do sług swoich: Wesele wprawdzie gotowe, ale zaproszeni nie byli godni. — Wynijdźcie więc na rozstaje dróg, i wzywajcie na gody, kogo tylko spotkacie. — I wyszli słudzy jego na drogi, zgromadzili wszystkich, których napotkali, złych dobrych, tak iż sala godowa zapełniła się biesiadnikami. A gdy król wszedł, by zobaczyć biesiadników, ujrzał tam człowieka, nieodzianego w szatę godową. Rzekł więc do niego: Przyjacielu, jakże tu wszedłeś, nie mając szaty godowej? A on zamilkł. Wtedy król powiedział służbie: Zwiążcie mu nogi i ręce, i wyrzućcie go precz do ciemności! Tam będzie płacz i zgrzytanie zębów. Albowiem wielu jest wezwanych, ale mało wybranych.

NAUKA.

Dzisiejsza ewangelja św. to żywa i wymowna ilustracja prawdy naszej wiary św. o rzeczywistości i okropności piekła. Znajdą się w niem niechybnie wszyscy ci, którzy bez szaty godowej łaski uświęcającej zejdą z tego świata. Usłyszą oni na sądzie Bożym ten straszny i nieodwołalny wyrok Syna Człowieczego: **„Idźcie precz ode mnie, przeklęci, w ogień wieczny!“** (Mat. 25, 41).

Dziwna rzecz, że ludziom, przejętym bojaźnią Bożą i wiodącym życie uczciwe, wiara w istnienie piekła zgoła żadnej nie sprawia trudności. Czemuż ci właśnie ludzie, którzy dla występnego życia lękać się muszą piekła, tak natarczywie wmawiają w siebie i w drugich, jakoby piekła nie było?

Chrystus Pan w ewangeljach niezliczone razy i z przerażającą wyrazistością wspomina o ogniu wiecznym.

Aczkolwiek co do miejsca mąk piekielnych i ich rodzaju Kościół nie wypowiedział się żadnym artykułem wiary, to jednak z orzeczeń Pisma św. i dociekań Ojców Kościoła możemy sobie odtworzyć żywy i wierny obraz tych mąk piekielnych.

„Idźcie precz ode mnie, przeklęci!“ — powie boski Sędzia do potępionych.

Odrzucenie od Boga — oto największa i najokropniejsza kara piekła. I choćby w piekle poza tem już żadne inne nie istniały męki, ten jeden ból, ta świadomość odrzucenia od Boga sama już dla potępionych byłaby piekłem niewymownem.

To co męki piekielne czyni do reszty beznadziejne, to wieczność ich. Gdyby w piekle choć zabłysła nadzieja, że męki jego skończą się raz, radość potępieńców nie znajdowałaby granic. Ale niestety.

Od śmierci wiekuistej, od potępienia wiecznego — zachowaj nas Panie! Amen.

Witaj Gwiazdo Morza, o Marjo!

W kaplicy na szczycie góry nad brzegiem morza się wznoszącej, dwie niewiasty, jedna starsza, druga młodsza, klęcząc przed figurą Matki Boskiej, „Gwiazdą morza“ zwanej gorąco się modliły.

W tejże chwili promienie wschodzącego słońca łamiąc się przez kolorowe szkła gwiazdy, nad głową Marji umieszczonej, tęczową światłością Ją oblały, i czułe wejrzenie Boskiej Dziewicy wlewało ufność w zbolałe serca, Jej opieki żebrzące.

— Matko Boska, opiekunko żeglarzy, polecam Tobie ukochane dziecię moje — mówiła starsza niewiasta. Błogosław ich pracy, daj obfity połów ryb i niech za łaską Twoją syn mój szczęśliwie z tej wyprawy wróci.

— Wróci szczęśliwie, matko Anno, ten kochany syn twój, który uroczystem przyrzeczeniem pozwolił mi cię za matkę uważać — odpowiedziała jej młoda towarzyszka. Powróci z całą czułością i przywiązaniem do ciebie... Słodko nam będzie tego dnia podziękować Najświętszej Dziewicy, która zawsze dla naszych żeglarzy łaskawą była.

Na te słowa matka Anna się uśmiechnęła, a złożywszy u stóp Marji ostatnie modlitwy, wyszła z kaplicy z Magdaleną, towarzyszką swoją, którą jak przyszłą synową kochała.

Promienie wznoszącego się słońca, oświecały bezbrzeżne morze, spokojne i ciche, jak kryształowa szyba, nadbrzeżne góry poważnie w sinych jego wodach się przeglądały, a morskie bałwany z lekkiem drżeniem o brzegi piasku się rozbijały. W dali było widać dwa statki, jak dwa wielkie ptaki nad wodami się unoszące; białe ich żagle to znikały, to się znowu wśród błękitu fal morskich ukazywały.

— Matko Anno, — rzecze Magdalena, poglądając na morze, Matka Boska błogosławi naszych że-

glarzy. Patrz, jak ich statki pięknie płyną, a ten dzień jasny i pogodny przepowiada im obfity połów ryb. Zresztą Jan zawsze był w swoich wyprawach szczęśliwym, a teraz kiedy my dwie się za niego modlimy podwójnie szczęśliwym będzie.

— Kochane dziecię, ufam Bogu, że nas nie opuści, ale niespokojną jestem, że Józef, którego rodzina zawsze dla nas była nieprzyjazną, w jednej łodzi z moim synem się znajduje. Kiedy mój mąż uniesiony falą na morze zginął, ojciec Józefa mógł go ratować, a nie ratował. Nienawiść do nas w tej rodzinie jest dziedziczną i Józef nie cierpi mego syna, usługi jego zawsze odrzuca. O jakżem niespokojna, że oni razem się wybrali.

— Nie frasuj się kochana matko, Jan pozyska serce Józefa, syn twój jest tak szczery, otwarty, dla wszystkich dobry, że go wszyscy kochać muszą. Zresztą może to Pan Bóg zrządził, aby Józef i Jan z sobą się zbliżyli i pokochali.

— Moje dziecię, ty nie znasz przewrotności serca ludzkiego. Niestety! jám więcej bojaźliwa i nieufna...

Matka Anna wsparta na ręku Magdaleny, wąską ścieżką z góry zeszła i do swej wioski wróciła. Domki małej tej osady, przez rybaków zamieszkałe, około małej przystani rozrzucone, górami i drzewami od wiatrów osłonione, wśród zieleni drzew malowniczo wyglądały.

Tymczasem kilka tygodni upłynęło, czas zwykle na rybołówstwo potrzebny przeszedł, a rybacy nie wracali; i wszyscy bardzo trwożyć się zaczęli o los dwóch statków, unoszących najdzielniejszych tej wioski rybaków. Matka Anna i Magdalena, często na górę do kapliczki Matki Boskiej chodziły, ze łzami opiece Marji nieobecnych żeglarzy polecały; ale czy to morze spokojne i gładkie, czy też huczące i wzburzone było, dwie niewiasty białych żagli na niem nie dostrzegały, i smutne, a milczące do domu wracały.

Pewnego dnia nareszcie ujrzano nieznajomy okręt w bliskości portu się zatrzymujący; cała ludność na brzeg się zbiegła, starcy, niewiasty, dzieci, z niespokojnością przyglądali się zbliżającej do brzegów łódce, w której wielu rybaków się znajdowało. Cóż się z innymi stało? Czy oba statki wśród burzy zginęły? Serce matki i bystre oko Magdaleny napróżno Jana szukają i z głęboką boleścią przybywających witają.

— Syn mój, gdzie jest mój syn? — wołała zbolała matka.

— Niemasz go! ale on powróci, matko Anno, burza nas rozdzieliła.

— Cóż się stało? Powiedz mi prawdę, czy Jan nie żyje? W tejże chwili wzrok jej padł na Józefa i bolesnem wejrzeniem jakby go o przyczynę nieobecności syna swego zapytywała. Ale w jednej chwili, z podziwieniem wszystkich, Józef do biednej matki przybiega. — Matko Anno, bądź spokojną, Pan Bóg zachował twego dobrego syna, a gdyby go nie było, jabym wraz z tobą serdecznie go opłakiwał. Gdyśmy już z obfitym połowem ryb wracali, straszna burza dwa statki nasze rozdzieliła. Ogromne fale zalewały nasze statki tak, żeśmy już zatonięcia i niechybnej śmierci się bali. Wielki okręt na morzu się znajdujący, widząc nieszczęście nasze, łódkę nam dla ocalenia przysłał. Każdy w niej miejsce zabierał, ja w głębi statku zajęty, nie mogąc rychło do łódki wskoczyć, rzuciłem się do morza, żeby pływając łódkę dosięgnąć.

— Nie możemy nikogo więcej przyjąć — krzyknął oficer łódką dowodzący. Wracaj do swego statku.

— Nasz statek zatonie — odpowiedziałem — zlituj się pan nademną, mam żonę i dzieci, którym jestem potrzebny.

— To niepodobna, łódź przepełniona; dodając więcej ciężaru, moglibyśmy wszyscy zatonąć.

— Józefie, syn twój zawołał, ja nie mam dzieci do wykarmienia, nie mam urazy w sercu. Polecam ci matkę! Bierz moje miejsce w łódce, a ja do naszego statku powrócę. Jan przeżegnał się i rzucił się w morze, gdym ja za czołno się uczepił.

— Burza rychło się uspokoiła. Nasz statek pewno ocalony, druga łódź nasza z nim się połączyła i Jan z towarzyszami zdrowo do nas powróci.

Podziwienie biednej matki nad heroicznym postępkiem syna, niespokojności o jego życie nie zmniejszyło. Stała nieruchomo, zapytując w duszy, czy mogła się spodziewać ocalenia bohaterskiego rybaka, który bez wahania się, życie swoje dla ocalenia życia nieprzyjaciela poświęcił.

— Matko Anno — mówił dalej Józef — bądź spokojną! Pan Bóg zachował twego syna, którego ja dziś jak rodzonego brata miłuję.

Biedna matka wróciła do domu, przytłoczona różnemi uczuciami, które się w jej duszy piętrzyły. Magdalena od niej nie odstępowała.

— Kochano matko — mówiła do niej, tak gorąco modliliśmy się za Jana, że Matka Boska, ta gwiazda morza, Opiekunka rybaków pewnie nas wysłuchała. Ona czuwa nad twoim synem, Ona go do nas przyprowadzi.

Pewnego poranku matka Anna z Magdaleną z kapliczki wychodziły. — Matko! zawołała dzieweczka, patrząc na morze, które słońce tysiącznemi blaski opromieniało; matko! widzę daleko! daleko! dwa żagle rozpięte.

— Moje dziecię, jeżeli twe serce zbytecznie się unosi, nie podzielaj ze mną swego złudzenia, bo mi to więcej boleści dodaje.

— Matko! dwa żagle powoli się zbliżają. Oto już wyraźniejsze... O Marjo, tyś je zachowała, cześć i chwała Tobie na wieki!...

Biedna matka prawie omdlała, na kolana przed obrazem Marji upadła i modliła się gorąco, bojąc się, by Magdaleną nadziei swych nie odwołała; ale dzieweczka drżąca od wzruszenia, przypatrywała się dwom statkom, lekko na złocistych falach się unoszącym.

— Matko, one się do portu zbliżają, wiatr je unosi. Podziękujmy raz jeszcze Matce Boskiej i na brzeg morski pospieszajmy.

Matka Anna powstaje. Magdalena ją podtrzymuje i spiesznie do morza przybywają. Cała ludność już była tam zebrana. Dwa statki szybko się zbliżają, chociaż zbyt powoli dla tych, którzy na nie z utęsknieniem czekają.

Nareszcie oto są już blisko — i w tejże chwili z obu statków i z wybrzeża morskiego radosne okrzyki i tysiączne znaki radości się wznoszą.

— Matko! — zawołała Magdalena — czy poznajesz Jana? on do nas ręce wyciąga. I sama

chwiejąc się od wzruszenia na matce opierać się musiała.

Nareszcie statki do brzegu przybijają. Tysiączne głosy powitania się rozlegają. Statek, do którego Jan przypłynął, winien mu swe ocalenie; drugi statek, który lepiej burzy i huraganom się opierał, do niego się przyłączył, i wszyscy rybacy zdrowi i szczęśliwi z obfitym połowem ryb do domu wrócili.

Matka Boska, Gwiazda morza, dzieciom swoim pobłogosławiła i gorących ich modlitw wysłuchała.

Od tego dnia, matka Anna miała w Józefie drugiego syna, który nie mniej jak Jan był do niej przy wiązanym i obaj z wielką miłością nad nią czuwali. Wkrótce także miała dwie córki, bo małżonka Józefa, chciała być siostrą dla Magdaleny, jak jej mąż stał się bratem dla Jana i tak pobożna niewiasta wskutek bohaterskiego poświęcenia się jej syna, czułą troskliwością swych dziatek otoczona, żywota swego szczęśliwie dokonała.

Zimowa bajka.

— Hej, wy młodzi, znacie tę bajkę?

— Znamy, dziadziu, znamy!

— No to posłuchajcie. Nową powiem wam bajkę. Palił pies fajkę na długim cybuchu, spalił sobie wąsy, w uchu..

— Eee, to już wiemy, co było.

— Otóż właśnie: jak było — nie wiecie... Naprzód tedy... to nie pies, a niedźwiedź i fajki nie miał nijakiej... nie przeto, żeby się to działo tak bardzo dawno, iż nawet sam djabeł nie umiał naówczas fajki palić, nie dopiero niedźwiedź w puszczy. A że mu tam i bez cybucha kurzyło się z gęby, to nie dziw, bo ziąb był wielki, a ciepło przecież nie mogło być w zimie.

Skoro więc ujrzał niedźwiedź, że mu para ciągiem buchą z pod nosa, powiada sobie tak, pomrukując:

— Hm, hm, musi być zimno porządnie. Gdybym się napił czego ciepłego, tobym się rozgrzał. Ba, ale skądby tu wziąć co ciepłego? Widywałem coprawda, nieraz człowieka, gdy mu zimno dokuczyło zimą; on łatwą na to miał radę: nadoił sobie mleka od krowy, rozniecił ognisko i uwarzył zaraz rozgrzewającego napoju cały kociołek. No, ale to dobre dla niego nie dla mnie! Gdzieżbym to ja się bawił w takie ceregiele. Człowiekowi zresztą nie będę się dziwił: niema biedaczysko własnego futerka, a kożuch ukradziony zwierzętom, którym się zimą okrywa, widać mu nie wystarczy, skoro musi sobie jeszcze ręce grzać przy ognisku i kiszki parzyć gorącem mlekiem. Smacznego! Ja na mleko nie łakomy. Dobrze to było, panie dobrodzieju, kiedy się było maleńkim, poczciwe matczysko nakarmiło, czem tam miało. Ale nie dzisiaj. A co tam za jucha szczypie mnie w ucho? Myślałem, że to mój mały, nie, figlarz pewnie śpi przy matce. Tam do djaska! nikogo niema, a w ucho coś szczypie! Chyba, że mróz? Ho, ho, braciszku, toś ty już przyszedł, no proszę, nikt cię przecież nie zapraszał tak wcześnie. Ale kiedy jesteś, panie mrozie, to sobie zatańczymy. Hola, zaraz mi się zrobi cieplej, kiedy sobie trochę podskoczę . . .

To powiedziawszy, ruszył niedźwiedź i w sążnistych skokach począł ganiać po lesie.

Rozgrzał się niedźwiedź, rozruszał, że mu się wnet jeść zachciało. A kiedy sobie znów podjadł do syta, legł spać snem ciężkim w podle swej połowicy i młodego pokolenia.

A wnet wśród nocnej ciszy, na wysrebrzonej światłem miesięcznem polance w pośrodku kniei zebrały się na walną naradę co najstarsze z boru wiewiórki.

Wiec trwał do późnej nocy. Ale odbywał się w taki tajemniczy sposób, że żadna z podsłuchujących w pobliżu sów nie mogła opowiedzieć puchaczowi, jaki był wynik poważnych obrad wiewiórczego rodu, a zdołała zaledwie tylko wyrozumieć, że tam szło o jakiś spisek przeciwko niedźwiedziowi.

Był ranek pogodny i piękny, ale gdy brzask słoneczny pobudził leśne ptactwo, zadrgała w pieśni, dzień witającej, jakaś nuta żałosna; albowiem skrzydlate boru mieszkanki zmartwiły się dziś o świcie, na widok pierwszego szronu, który przez noc bajecznie świat wybielił, wcześniejszą niż zwykle zapowiadając zimę.

Ale rychło ptakowie leśni potężnym chórem zaśpiewali hymn radosny, jakiego słyszeć nie miewają sposobności ludzie zwyczajni.

Usłyszał go zasie skromny wędrowiec, który w szacie białej przez bór kroczył drożyną, w chwili, gdy z za gór szarych wynurzyło się ogromne, złocistością olśniewające słońce. Nie słabsze też blaski biły od głowy przechodnia, na którego cześć pienia powitalne wywodziły w tej chwili ptaki wszelkie, a on idąc powoli, uśmiechał się do nich dobrotliwie i rękę ku ich gniazdom wyciągał dobrotliwie.

Wszedł właśnie na polankę, na której teraz słońce zaczynało się bawić brylantami szronu, gdy wtem zewsząd obskoczyły przechodnia wiewiórki leśne i oczki swoje mrużąc przed światłością, od niego bijącą, kłaniać mu się jęły kitami swych ogonów, niby rycerze jakowi hełmów swych szczytnych pióropuszami.

Nachylił się ku nim wędrowiec w szacie białej i po kolei brał je na ręce i po główkach rudych głaskał, jako ten dobry ojciec.

Potem usiadłszy na głazie omszałym, rozpytywał wiewiórki, jak im się w kniei powodzi, czy im co złego nie dolega. A one mu na to nuż wywodzić swoje żale na niedźwiedzia, który miał zwyczaj brzydki o jesiennej porze ograbiać z żeru małe wiewiórki.

— Zaledwie liście opadną — skarżyła się jedna po drugiej — ciężkie kroki włóczącego się niedźwiedzia płoszą nas co chwila i dlatego musimy przed nim wszystkie umykać na najwyższe gałęzie, gdy tymczasem latem łatwo nam się skryć byle gdzie w gęstwinę.

Posłano tedy po winowajcę szybko-biegłego zająca. Zanim ten jednak zjawił się przed królującym w kniei misiem-bartnikiem, już chytry lis, coś niecoś posłyszawszy pierwszy uprzedził niedźwie-

...a, iż na pewnej polance knuje się coś złego przeciw jego samowoli.

Sam tedy niedźwiedź zamyślając spiskowym zapobiedz, wpadł na polanę buńczucznie; lecz spokorniał odrazu, świetlaną postać ujrzawszy między wiewiórek gromadą. Łeb pochyliwszy, zbliżył się winowajca do siedzącego na głazie wędrowca w białej szacie i jął mu lizać stopy, nie rzekłszy ani słowa. Ten zaś, bawiąc się jeszcze wiewiórkami, odezwał się tak do psotnika:

— Słuchajno ty, stary, pamiętaj, skoro tylko pierwszy śnieg zobaczysz, lub pierwszy raz mróz uczujesz, zaraz sobie zrób, jak tam będziesz umiał, budę jaką wśród boru i idź mi spać do niej na zimę.

Posłuszny niedźwiedź odtąd, ku wielkiemu wiewiórek zadowoleniu, co rok budę sobie stawiał w pierwszą noc, gdy ino mróz poszczypał go w uszy, a nawet czasem wcześniej, ledwie mu pierwsze ptaki białe na nos spadły z nieba.

Ale ponieważ od pierwszego mrozu lub śniegu, z którego nazajutrz śladu nie zostało, dużo zwykle czasu mijało do prawdziwej zimy, zaczęło się wreszcie przykrzyć misiowi tak długie sypianie.

Więc teraz on z kolei spróbował się pożalić na swoje kłopoty zimowe. Dobrą właśnie do tego znalazł sposobność.

Oto raz, wśród nocy księżycowej, późną jesienią rozbudziły misia niezwykłe śpiewy. Dźwiga się z legowiska, przeciera oczy zaspane i patrzy...

A tu wprost z księżyca po srebrnej światła smudze spływa ku ziemi cudna postać niewieścia, którą z nieba znoszą na swych skrzydełkach nieprzeliczone roje jaskółek, dokoła zaś w obłokach śpiewają chórem skowronki, odpowiadając hymnom słowików w kniei.

Zrazu zdziwiło niedźwiedzia to niezwykłe widowisko. Myślał już, że mu się to może śni jedynie; bo skądżeby się w noc listopadową wziąć miały w leśnej gęstwinie słowiki, a w obłokach jaskółki ze skowronkami.

Kiedy wszakże ze snu wytrzeźwiał i lepiej przyjrzał się nocnemu widziadłu, domyślił się zaraz, co się święci i co żywo pobiegł w dąbrowę, gdzie właśnie w kniei wszyscy mieszkańcy zgromadzili się na powitanie niewiasty w szacie błękitnej, a z gwiazd koroną nad czołem.

Długo mu tam czekać wypadło, zanim mógł się docisnąć, bo mu jakoś nikt z drogi nie ustępował, lecz przeciwnie, im mizerniejsze stworzenie, tem pierwej bywało dopuszczone na posłuchanie, gdy on, co się w kniei miał za króla został przyjęty właśnie między ostatnimi. Nie mruczał wszakże na to niedźwiedź, lecz z równą pokorą, jako te myszki leśne z norek swoich i on wreszcie zbliżył się i począł żalić, że mu nieco za długo sypiać w budzie od pierwszego przymrozku do ostatnich śniegów...

Wysłuchano go łaskawie i pod warunkiem, że nie będzie nigdy napastywał maleńkich wiewiórek, pozwolono mu stawiać budę dopiero wtedy, gdy się już dobrze zrobi gruda. Niedźwiedź był zadowolony i miał już odchodzić, gdy naraz jakby sobie jeszcze co przypomniał, zawrócił pytając:

—A kiedyż to będzie mi wolno wyjść z budy?

— No, no, nie troszcz się stary — odpowiedziała mu niewiasta z koroną z gwiazd nad głową — śpij sobie spokojnie. Ja już cię sama obudzę.

I od tego czasu, niedźwiedź nie stawia sobie wcześniej budy, jak dopiero z początkiem grudnia i sypia w niej wcale nie długo. Bo chociaż wicher luty, jeszcze mróz trzyma, wali misio już budę, ledwie go tylko ze snu w niej zbudzi blask świecy gromnicznej, z którą w ręku przesuwa się przez gąszcz kniei, w powłóczystej szacie błękitnej, Niebios i ziemi Królowa z koroną z gwiazd nad czołem.

Koń-górnik — oszukiwany.

Szli ciemnym, nieskończenie długim korytarzem kopalni. Było w nim zimno i wilgotno. Śmiertelnej ciemni nie rozświetlały nawet ogniki górnicze. Czasami tylko dawał się słyszeć odległy turkot i skrzyp wózka. I z mroku wynurzał się koń-górnik, odwracał swe smutne, stęsknione, beznadziejne oczy, jakby mu był wstrętny widok człowieka, i ginął w wiecznym grobie.

W pewnej chwili Judym usłyszał przed sobą w ciemnościach rozmowę, a raczej monolog. Ktoś mówił dobitnym głosem: „Fuks, mówię, nie zwalone!“ Chwilę trwało milczenie i znowu odzywał się ten sam głos z podwójną natarczywością:

„Nie zwalone, Fuks! Kiej nie zwalone, to nie zwalone!“... Korzecki objaśnił Judyma szeptem, co to znaczy.

— Czasami koło jednego z wózków, zczepionych z sobą, wyskoczy z szyn. Wówczas koń, imieniem Fuks, staje, gdyż nie ma siły uciągnąć, a zresztą i następne wózki zaraz się wykoleją. Poganiacz musi podnieść i ustawić wózek w szyny. Gdy to uczyni, woła na konia, że już robotę tę wykonał. Ale nieraz przyczepi mu jeden wózek za wiele i wówczas koń staje, sądząc, że to skutek wykolejenia. Poganiacz zapewnia go krzykiem że „nie zwalone“, ale koń pociągnąwszy zlekka, nie rusza się z miejsca, gdyż czuje ciężar większy, niż należy. Wówczas furman musi go przekonać: idzie wzdłuż wózków, aż na sam ich koniec i stamtąd dopiero jeszcze raz uroczyście krzyczy swoje: „Fuks nie zwalone“. — Natenczas biedny koń godzi się z myślą, że go wyzyskują, zbiera siły i wlecze dalej w ciemności swą dolę. Może nawet przychodzi do świadomości, co to jest, może nawet po cichu wzdycha, albo ściska zębce, ale przystać musi na taki układ, bo gdyby marzył, albo usiłował protestować, za pomocą dajmy na to stania, toby mu poganiacz batem grzbiet wyłoił i na tem skończyłoby się polepszenie stosunków.

— No, ale wy powinniście tego zabronić... — rzekł Judym.

Inżynier podniósł wyżej swą lampkę i rzekł z lekkim uśmiechem:

— A ja zabraniam, surowo zabraniam...

Przysłowia.

Zły to ptak, co własne gniazdo kala.

Pozwól kurze grzędy, ona zechce wszędy.